

## Językoznawstwo – dyscyplina humanistyczna

Na wstępie chciałbym z całego serca podziękować władzom Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej i całej jego wspólnoty akademickiej za zaszczyt, który mnie tutaj dzisiaj spotyka. Oczywiście moja wielka wdzięczność nie oznacza, bym był przekonany o merytorycznej zasadności tej decyzji. Naprawdę, nie poczuwam się do jakichś szczególnych zasług wobec Uniwersytetu Pedagogicznego: spośród sporządzonych w moim dość już długim życiu 52 recenzji doktorskich ani jedna nie dotyczyła przewodu na UP, spośród 56 recenzji habilitacyjnych przewodów przeprowadzonych na UP dotyczyło 5 recenzji (co – w porównaniu z niektórymi innymi uczelniami – nie jest wcale tak dużo), wreszcie spośród 20 recenzji w postępowaniu o tytuł naukowy profesora tylko jedna odnosiła się do postępowania wszczętego na UP. Recenzji związanych ze stanowiskiem tzw. profesora uczelnianego i dotyczących uzwyczajnienia profesury nie sporządzałem dla UP w ogóle. Mogę więc zasadnie powtórzyć, że nie poczuwam się do jakichś szczególnych zasług wobec UP. Oczywiście bardzo jestem wdzięczny laudatorowi za pochlebne słowa, ale jako językoznawca znam poetykę laudacji jako gatunku mowy. Dodam, że laudacja została już „oficjalnie” za odrębny gatunek mowy uznana w najnowszym *Wyborze tekstów z dziejów języka polskiego. Od połowy XIX w.* (pod red. M. Cybulskiego, Łódź 2015), gdzie na s. 509–512 mój znakomity kolega, Prof. Marek Cybulski, przedrukował laudację Prof. Marii Kamińskiej, wygłoszoną z okazji doktoratu honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego dla Prof. Franciszka Sławskiego. Wiadomo więc, że opinie z laudacji trzeba w najlepszym wypadku przyjmować *cum grano salis*. Osobiście całą sytuację zawarłbym w takim oto dystychu: „Zasług nie mam, wyznam szczerze,/Lecz gdy dają, to się bierze”.

Nie poczuwam się, żeby jeszcze (ostatni już) raz powtórzyć, do jakichkolwiek szczególnych zasług wobec UP, chciałbym natomiast podkreślić, że poczuwam się do duchowego powinowactwa z językoznawstwem uprawianym na UP.

W tym miejscu muszę przypomnieć (a dla niespecjalistów będzie to zapewne nowa, wcześniej nieznaną informacją), że w obrębie językoznawstwa uprawianego w polskich szkołach wyższych funkcjonują obecnie trzy paradygmaty badawcze (trzy, o których niżej, gdyż paradygmat generatywno-transformacyjny, mimo przejściowej ekspansji, posuniętej

– tak w odniesieniu do samego paradygmatu, jak zwłaszcza do jego fundatora, Noama Chomsky’ego – aż do swoistej mody na cytowanie Chomsky’ego, dzisiaj należy już do przeszłości, choć oczywiście wciąż są naukowo czynni jego ostatni zwolennicy). Te trzy dziś aktualne paradygmaty badawcze polskiej lingwistyki to oczywiście paradygmat kulturowy, paradygmat komunikacyjny i paradygmat strukturalistyczny.

Humanistyczny charakter językoznawstwa chyba najbardziej bezpośrednio ujawnia się na gruncie paradygmatu kulturowego. Jak twierdzi jeden z najwybitniejszych polskich przedstawicieli językoznawstwa kulturowego, Jerzy Bartmiński, język jest jednym ze składników kultury, a jednocześnie zwierciadłem, tworzywem i narzędziem całej duchowej, intelektualnej i artystycznej kultury społeczeństwa jego użytkowników (J. Bartmiński, *Język w kontekście kultury*, [w:] *Współczesny język polski*, pod red. J. Bartmińskiego, Lublin 2001, s. 13–22). Język warunkuje kulturę, bez jego opanowania nie jest możliwe uczestnictwo w kulturze ani w życiu społecznym. Jak twierdzi Zenon Klemensiewicz, język pełni funkcję narodotwórczą, tzn. współtworzy, współorganizuje naród (Z. Klemensiewicz, *Składnia, stylistyka, pedagogika językowa*, Warszawa 1982, s. 312). Jest język, jako narzędzie i tworzywo kultury, depozytariuszem narodowej spuścizny kulturalnej. Kultura duchowa i materialna naszych przodków przejawia się w etymologii ważnych ze względów kulturowych wyrazów, w obszarze frazeologii i paremiologii, w zakresie nazw własnych i na gruncie kontaktów polszczyzny i społeczności jej użytkowników z innymi językami i ich użytkownikami. Z konieczności musimy się tutaj ograniczyć do jednego tylko, ale – moim zdaniem – bardzo wyrazistego przykładu. Dostarcza go rozwój znaczeniowy praindoeuropejskiego wyrazu \**ghost-i-s* ‘obcy, przybysz’.

Zgodnie z regularnym rozwojem fonetycznym wyraz ten na gruncie łacińskim przybrał postać *hostis*, a na (pra)słowiańskim – \**gostь*, z czego się rozwinęło polskie *gość*. W obu wypadkach mamy więc do czynienia z regularną kontynuacją praformy indoeuropejskiej, ale w kontekście naszego tematu istotna jest tutaj nie forma, lecz znaczenie: łacińskie *hostis* oznacza ‘wróg, nieprzyjaciel’ (więc rozwój semantyczny przebiegał tutaj od znaczenia ‘obcy, przybysz’ do znaczenia ‘przybysz niechętnie widziany, niepożądany’, a więc ‘nieprzyjaciel, wróg’), natomiast prasłowiańskie \**gostь* i polskie *gość* (w innych językach słowiańskich też istnieją ekwiwalenty wynikające z regularnego rozwoju fonetycznego tych języków) to ‘przybysz mile widziany, gość’ (rozwój znaczeniowy przebiegał więc tu całkiem inaczej niż w łacinie: ‘obcy, przybysz’ → ‘przybysz mile widziany, pożądan’ → ‘gość’). Nie ulega wątpliwości, że ten przykład bezspornie dowodzi odmiennego u Rzymian i Słowian stosunku do obcych przybyszów: dla Rzymian (a ściślej dla ksenofobicznych Rzymian okresu królów i wczesnej republiki, gdyż później, zwłaszcza w okresie cesarstwa, nastawienie Rzymian do obcych wyraźnie się zmieniło) byli oni nieprzyjaciółmi, dla Słowian – mile widzianymi (przyjmowanymi w myśl przysłowia *Gość w dom, Bóg w dom*) gośćmi. Trudno o lepsze

świadełstwo – powszechnie zresztą znanej i wielorako udokumentowanej – gościnności Słowian.

W powyższym przykładzie hipotezę etymologiczną wsparło przysłowie. Trzeba tu przypomnieć, że właśnie badanie zasobów frazeologicznych i paremiologicznych polszczyzny pod kątem odzwierciedlonego w nich obrazu dawnej kultury polskiej, może najwyraźniej uwidocznione w dorobku naukowym Prof. Ewy Młynarczyk, stanowi ważny obszar badawczy językoznawstwa uprawianego na Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie.

Chyba równie łatwo ukazać humanistyczny charakter badań lingwistycznych zogniskowanych w ramach paradygmatu komunikacyjnego. Komunikowanie jest przecież elementarną i pierwotną potrzebą człowieka. Jak twierdzi Antoni Furdal, obecność języka, służącego przecież komunikowaniu, uważa się za symbol rozgraniczenia świata zwierzęcego i ludzkiego (A. Furdal, *Językoznawstwo otwarte*, Opole 1977, s. 90–91). Można zatem zasadnie przyjąć, że *homo sapiens* i *homo loquens* to w istocie określenia synonimiczne.

Jak wiadomo, teoretycznie umotywowany paradygmat komunikacyjny na gruncie językoznawczym zainicjował Ludwik Zabrocki swoją teorią wspólnot komunikatywnych (L. Zabrocki, *Wspólnoty komunikatywne w genezie i rozwoju języka niemieckiego*, cz. I: *Prehistoria języka niemieckiego*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963). Niepodobna w tym miejscu nie przypomnieć, że koncepcja Zabrockiego doczekała się twórczego rozwinięcia właśnie na Uniwersytecie Pedagogicznym, przez Prof. Leszka Bednarczuka. Ten znakomity indoeuropeista i sławista, badacz (w ramach koncepcji Zabrockiego) historycznie zmiennej sytuacji językowej Wielkiego Księstwa Litewskiego, na jednej z konferencji naukowych zorganizowanych przez językoznawców z UP przedstawił bardzo erudycyjny referat, zawierający gruntownie przemyślaną typologię wspólnot komunikatywnych i ich językowych konsekwencji. Niestety, o ile mi wiadomo, ta inspirująca propozycja nigdzie dotąd nie została opublikowana.

Najbardziej w tym kontekście kontrowersyjny wydaje się paradygmat strukturalistyczny. A przecież godzi się tu przypomnieć, że temu właśnie paradygmatowi językoznawstwo zawdzięcza opinię (pozycję?) przodującą pod względem metodologicznym dyscypliny humanistycznej (B. Walczak, *Językoznawstwo – przodująca pod względem metodologicznym dyscyplina humanistyczna*, „*Artes Humanae*”, vol. 1, 2016, s. 87–96). Choć dzisiaj strukturalizm w badaniach lingwistycznych ustępuje miejsca popularniejszym paradygmatom: kulturowemu i komunikacyjnemu, za przedwczesne można uznać opinie o jego zmiernym czy zgoła śmiertelnym. A dość rozpowszechnione przekonanie o tym, że w teorii strukturalizmu immanentnie tkwi pogląd o autonomii języka jako kodu rządzącego się swoistymi prawami i niejako wyalienowanego z posługującej się nim wspólnoty kulturowo-komunikacyjnej, wydaje mi się przekonaniem co najmniej uproszczonym.

Rozpatrzmy często w tym kontekście przytaczany przykład (znajdujący najbardziej adekwatne wyjaśnienie w ramach paradygmatu strukturalistycznego) rozwoju pierwotnego (odziedziczonego z praindoeuropejszczyzny) prasłowiańskiego  $*\bar{u} \rightarrow *y$  jako skutku powstania nowego  $*\bar{u}$  w wyniku monoftongizacji dyftongów typu  $*\bar{a}\bar{u} \rightarrow *\bar{u}$ . Owszem, można tu widzieć reakcję autonomicznego systemu językowego. Ale można też widzieć nieuświadomione w kategoriach wiedzy wyraźnej zachowanie użytkowników, którzy nieświadomie (podświadomie?) decydują, czy zakres sprowokowanej przez monoftongizację homonimii mógłby zagrozić funkcjonowaniu języka. Albo inny przykład: ogólny kierunek rozwoju języka francuskiego z łaciny galijskiej, ilustrujący wzajemne uwarunkowania na gruncie różnych poziomów budowy języka (systemów cząstkowych): jak wiadomo romanistom, miały tu miejsce kolejno wynikające jedne z drugich na skutek systemowego (strukturalnego) charakteru języka następujące zmiany (procesy): zmiana (pod wpływem substratu celtyckiego) typu akcentu łaciny używanej w Galii z tonicznego na silnie dynamiczny, zanik (jako skutek redukcji właściwych silnemu akcentowi dynamicznemu) całych proakcentowych części wyrazów (stąd oksytoniczny akcent współczesnej francuszczyzny), w których były usytuowane końcówki fleksyjne, a więc *eo ipso* zburzenie całego łacińskiego systemu fleksyjnego, wreszcie zastąpienie (funkcjonalne) końcówek fleksyjnych pozycją składniową, czyli stałość szyku, charakterystyczna dla języka francuskiego. I znowu: można tu widzieć autonomiczną reakcję łańcuchową systemu, w którym, według słów Saussure'a, „tout se tient” i każda zmiana wywołuje reakcję łańcuchową. Ale można (a nawet chyba więcej: trzeba) widzieć poza tymi zmianami wspólnotę językową gallo-romańską i jej nie do końca uświadamiane, samorzutne wybory: w tym wypadku przejmowanie języka wyższej kultury, jakim była łacina, przy jednoczesnym uporczywym trwaniu przy swoich własnych, odziedziczonych po przodkach, nawykach artykulacyjnych w postaci silnego akcentu dynamicznego. Takie wybory, jak przed chwilą stwierdziliśmy, zwykle nie są do końca uświadamiane (w sensie: nie są dyskursywnie werbalizowane w myśl wiedzy wyraźnej o języku, natomiast są oparte na wiedzy o języku jasnej, operacyjnej). Wielu tego rodzaju przykładów dostarcza nam geneza polszczyzny kresowej: tutaj także ruska wspólnota komunikatywna, przejmując polski jako język wyższej kultury i atrakcyjniejszego porządku społecznego, zachowywała swoje ruskie nawyki artykulacyjne, czego skutkiem jest wiele doskonale znanych historykom języka właściwości polszczyzny kresowej.

W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć stwierdzenie Jana Baudouina de Courtenay (zasadnie uważanego za największego polskiego językoznawcę) na temat rozwoju języka polskiego:

[...] należy pamiętać, że ze stanowiska nieprzerwanej ciągłości historycznej, stosowanie nazwy „język polski” do danego języka zbiorowo-indywidualnego dopiero od pewnego

czasu, tj. od czasu wyodrębnienia się tego języka ze wspólnoty wszechsłowiańskiej, jest rzeczą dowolną. Obiektywnie tak zwani Słowianie czy też Prasłowianie byli przodkami lingwistycznymi czyli językowymi zarówno Polaków, jak i innych Słowian; tak więc prasłowiański powinien być uważany za dawny język polski. Podobnie ma się sprawa ze stanem językowym praarioeuropejskim, który w swej dostępnej dla naszego badania, a ustanawianej drogą domysłów i odtwarzań postaci może być również uważany za najstarszy język polski (J. Baudouin de Courtenay, *Zarys historii języka polskiego*, Warszawa 1922, s. 12).

W powyższym cytacie zawarta i wyrażona jest teza, że istotą ewolucji systemu językowego jest to, iż system ten ewoluował nieprzerwanie, przy czym równocześnie nieprzerwanie istniała społeczna świadomość jego tożsamości, czyli, innymi słowy, społeczeństwo jego użytkowników nie zdawało sobie sprawy z tej ewolucji i było przekonane – oczywiście, jak najśluszniej – że wciąż mówi tym samym językiem (co jest, zresztą, ogólną zasadą ewolucji językowej: brak świadomości ewolucji bynajmniej nie wyklucza postawy trwania przy języku jako środka komunikacji społecznej; oczywiście oznacza to zarazem, że cezury „etnolektalne” w tej nieprzerwanej ewolucji można wyznaczać tylko na podstawie kryteriów zewnętrzno- i pozajęzykowych).

W świetle wymowy powyższych przykładów i ustaleń mam nadzieję, że udało mi się przekonać Państwa o tym, iż także paradygmat strukturalistyczny, pozornie traktujący język jako najbardziej odległy (bo w pewnym sensie wyalienowany i autonomiczny) od społeczności jego użytkowników, jest z tą społecznością (tzn. z jej uwarunkowaniami społecznymi i kulturowymi) nierozzerwalnie związany. Zatem i on uzasadnia traktowanie językoznawstwa jako dyscypliny głęboko, immanentnie humanistycznej. Jako dyscypliny, która poprzez badanie języka wypowiada się o człowieku i o kondycji ludzkiej. Takie językoznawstwo jest mi bliskie i takie językoznawstwo uprawia się na Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Jest to językoznawstwo przy całej swojej różnorodności wewnętrznie spójne i koherentne. Jest to, co wydaje mi się bardzo ważne, językoznawstwo dalekie od jakiegokolwiek doktrynerstwa. Wygląda na to, że większość krakowskich językoznawców ze środowiska UP jest mniej lub bardziej związana z językoznawstwem historycznym. Nie jest przecież sprawą przypadku, że pod auspicjami Prof. Macieja Mączyńskiego odbywają się konferencje „W kręgu dawnej polszczyzny”, cieszące się zasłużoną renomą i popularnością w całym kraju. Nie jest także sprawą przypadku, że Prof. Stanisław Koziara, najwybitniejszy znawca polskiego stylu biblijnego i osobliwej nieraz – jak w wypadku związku frazeologicznego *kur zapiał* – ewolucji semantycznej i stylistycznej polskich biblizmów, patronuje cyklowi konferencji „Dialog z tradycją”, której nazwa precyzyjnie informuje o postawie jej organizatorów i uczestników. Jednocześnie lingwistyka UP dostrzega także współczesne, najnowsze uwarunkowanie procesu komunikacji językowej –

o czym najlepiej świadczą mediolingwistyczne badania Prof. Bogusława Skowronka. Jestem głęboko przekonany o tym, że językoznawstwo na UP najpełniej realizuje humanistyczne dyrektywy naszej dyscypliny. Myślę, że wszyscy lingwiści z Uniwersytetu Pedagogicznego zgodziliby się z ideą (bo niekoniecznie ze szczegółami, które mogą być czasem wynikiem mylnego przekonania) Cypriana Kamila Norwida, sformułowaną na podstawie refleksji o przeszłości języka polskiego:

Narodowość [niepodobna w tym miejscu rozpatrywać, co ten wyraz u Norwida oznacza: najzwyczajniej można by stwierdzić, że jest synonimem obywatelstwa Rzeczypospolitej – B.W.] nie jest wyłączość, ale jest to siła przywłaszczania sobie wszystkiego, co do postępowego rozwinięcia żywiołów własnych potrzebne i konieczne jest [...]. Mówiono [...] po łacinie, po włosku i po hiszpańsku [tu się Norwid myli: hiszpański nigdy nie był u nas językiem szerzej znanym w skali społecznej – B.W.] w epokach najwięcej narodowych-polskich! – ale to nie była sekta: był to naród! (C. Norwid, *Pisma wszystkie*, t. 9: *Listy*, Warszawa 1971, s. 131–132).

Takie językoznawstwo jest mi bliskie. Z takim językoznawstwem się identyfikuję.